

Opowieść o syrenie

Nie tylko Warszawa ma swoją syrenkę. Wyłącznie nieliczni mogli zobaczyć coś tak wspaniałego. Ludzie mówią, że widzieli ją, jak płynęła wzdłuż Odry i ciągle się spieszyła. Była niesamowita. Ten połyskliwy ogon miał wielką siłę. Niepotrzebne jej było powietrze. Mogła zanurzyć się w najgłębsze miejsca rzeki.

Pewnego dnia, gdy ścigała się z karpami w tym samym czasie płynął statek z grupą turystów. Zawsze się bała widząc ludzi, ze względu na jej brzydkie ubranie. Każdy chciałby mieć ogon, a ona miała wyrzuty, że jest taka inna - taka niezwykła. Odzież zrobiła sobie ze szmat znalezionych w głębinach Odry. Chciała być schludna i zadbana. Dom miała pod mostem Tumskim, przy wyspie Piasek. Nikt jej nie zaczepiał, ponieważ bano się, że rzuci kłótnię. Ona jednak była nieszkodliwa. Dotkliwie odczuwała samotność, a nocami można było usłyszeć jej smutny płacz. Kierownik statku zapatrzył się w wodę, która magicznie poruszała się w rytm muzyki. Nagle statek uderzył w wielki kamień. Syrena wszystko widziała. Pojazd zaczął tonąć. Ludzie wskoczyli do wody, ale bez kamizelek. Wśród nich był mały staruszek z Czech, któremu ten wypadek mógł najbardziej zaszkodzić. Syrena nie wiedziała, co ma robić. Czy ma ujawnić się i pomóc tym biedakom, czy też udać, że nic się nie dzieje i mile spędzić popołudnie? Postanowiła im pomóc. Nie chciała ich zranić, ale bała się, że ludzie tylko się wystraszą i nie dadzą sobie pomóc. Szybko wkroczyła do akcji. Jednak nie pokazała swojej twarzy, tylko zanurzyła się pod wodę i w głębinach zaczęła prowadzić ludzi na brzeg. Staruszek pierwszy odczuł pomoc syreny. Tylko on wiedział, kto jest sprawcą ratunku, ponieważ w młodości bardzo poruszyła go ta tajemnicza sprawa. Nigdy nie widział tej postaci, ale wierzył w jej możliwości. Inni myśleli, że to nieszkodliwy wir prowadzi ich na brzeg. Gdy syrena ukończyła swą misję, popłynęła do kryjówki, aby nikt jej nie zauważył. Starzec był bardzo szczęśliwy, że uratowała mu życie. Mijały tygodnie, a on zawsze przychodził o tej samej porze na most i wypatrywał syrenę. Ona nigdy nie chciała się mu ukazać. Pewnego dnia znowu nękała ją samotność i nabrała odwagi, aby się z nim zmierzyć. Dziadek chciał się odwdzińczyć istocie. Na początku nie ufała mu, ale później miała wielką prośbę. Chciała, aby kupił jej piękną kreację. Wtedy znowu nie wstydziłaby się pokazywać publicznie. Oczywiście miała być to ich wielka tajemnica. Gdy doczekała się ubrania, delikatnie wsunęła spódnicę i bluzkę. Pasowały doskonale. Oboje bardzo się polubili. Codziennie spędzali ze sobą dużo czasu. Mieli pewną cechę wspólną, a mianowicie samotność. Dziadziś nigdy nie miał żony, a syrena całe życie spędziła z rybami. Czasami, gdy nie mogła zrobić jakiejś rzeczy, starzec ją wyręczał. Niekiedy ludzie widzieli, gdy pierze ubrania nad rzeką i uważali go za dziwaka. Syrena zawsze się ukrywała. Nie mogła przyzwyczaić się do ludzi. Trwało to dokładnie dziewięć lat, dopóki dziadek nie umarł. Syrena bardzo rozpacziała. On zawsze powtarzał, że ludzie są dobrzy i nie zrobią jej krzywdy. Wreszcie postanowiła się ukazać. Stało się to w słoneczne południe. Zaczęła machać ogonem i uśmiechać się do wszystkich. Zrozumiała, że dziadek miał rację. Ludzie serdecznie ją ugościli i zapewnili dobrobyt.

Każdy dobrze zapamiętał staruszka. Na jego cześć postawili krasnoludka, który zawsze przypominać będzie dobrego, piorącego syrenie ciuchy człowieka. Do dziś syrena krąży po dnie Odry i wspomina piękne czasy. Pracz Odrzański upamiętnił taką niezwykłą chwilę.

Dawno, dawno temu - ale nie aż tak dawno – żył sobie pewien gruby krasnal Łasuch. Pożerał wszystko co było jadalne i ładne. Czasami bywał wybredny względem jedzenia.

Jak sobie coś upodobał to nie odpuścił dopóki tego nie zjadł. Ze względu na swe kulinarne upodobania znał wszystkie restauracje we Wrocławiu. Pewnego dnia w nowej i gustownie urządzonej restauracji, którą odwiedził zauważył coś nadzwyczajnego. Była to cudowna rzeźba z galaretki mieniącej się kolorami tęczy o tak pięknym zapachu, że Łasuch wywęchałby tę woń na kilka kilometrów. Ludzie z najdalszych zakątków naszego miasta przyjeżdżali, żeby zobaczyć ten kulinarny cud na własne oczy i poczuć własnym nosem. Łasuch zaniepokojony nadciągającym tłumem posypał się magicznym pyłem i niepostrzeżenie przeleciał tuż pod rzeźbę. Wabił go waniliowo – migdałowo – kokosowy aromat czarującej galaretki. Nabral takiej ochoty żeby ją zjeść, że nie bacząc na nic otworzył szeroko usta, zamachał rękoma i ruszył na podbój kuszącej rzeźby. Już chciał pochwytać cudo, ale nie zauważył oszklonych drzwi i ... uderzył się.

- Nienawidzę drzwi!!! – wrzasnął trzymając się za czoło.

Potem zawzięcie próbował dopaść galaretkę rzucając się na nią. Spadał raz z prawej, raz z lewej strony lub za nią. Podjął kolejną desperacką próbę, ale wylądował na napisie: **„Nie podzeraj mnie bo zamienisz się w kamień!”**.

- To jakieś żarty... phi... Kto w to uwierzy. Nie dam się nabrać! Jutro spróbuję na nowo... – powiedział krasnal.

Całą noc myślał o galaretkce. Gdy tylko noc ustąpiła miejsca wschodzącemu słońcu, już stał przy drzwiach i ciężko dumął, jak dostać się do wnętrza zamkniętej restauracji. Gdy tak przyglądał się drzwiom, nagle zauważył maleńką myszkę w futrynie. Posypał się magicznym proszkiem w innym kolorze... Oglądnął ten maleńki otwór z każdej strony i ... spróbował wejść. Głowa przeszła, ale tułów się zaklinował. Ze wszystkich sił przeciskał swoje krągłości, aż w końcu udało się : PRZESZEDŁ!

- Muszę przejść na dietę... - westchnął krasnal.

Śmignął w powietrzu. Pochwycił talerz. Naładował na niego olbrzymią porcję galaretki. Nagle usłyszał zgrzyt otwieranych drzwi. To szef restauracji przyszedł do pracy, a za nim wchodzili pracownicy. Skorzystał z zamieszania przy wejściu i uciekł niezauważony na zewnątrz lokalu. Cudowny zapach galaretki kusił niemłosiernie... Kilka kroków od budynku restauracji, na rynku naszego miasta, spałaszował tę precudowną wyśmienitość... i... tylko mrucał:

- Co za cudo! Mniam!!! Co za cudo. Niebo w ustach. Pychotka... Mniam. Mniam...

Gdy już ją zjadł padł na talerz z przejedzenia. Nagle zauważył, że nie może ruszać ani nogą ani ręką a potem ... skamieniał...

Teraz leży biedaczek na wrocławskim rynku przy „Pizy Hut” nieopodal „Witaminki”. Uważajcie żeby go nie nadepnąć.

Karolina Krzykawiak kl. 4b

Wrocławska baśń o krasnalach.

Pewnego dnia, gdy Eliza bawiła się na wrocławskim Rynku, zauważyła koło kamieniczek Jaś i Małgosia wrota do "Krainy Krasnali". Były otwarte. A koło nich stała

buteleczka z napisem na etykiecie: „Jeśli chcesz się tam dostać...” Eliza spragniona przygód, niewiele myśląc, sięgnęła po nią i wypić.

Coś niewiarygodnego zaczęło się z nią dziać. Dziewczynka kurczyła się i malała, aż w końcu mogła przedostać się przez drzwiczki. „Zaraz ktoś mnie rozdepcze” – pomyślała. Podbiegła pod drzwi. Postać pilnująca ich przebudziła się i zapytała:

-Kim jesteś?

Eliza przestraszyła się trochę, ale odpowiedziała:

-Ja? Nazywam się Eliza Michalska. Mam 5 lat. A urodziny mam...- chciała powiedzieć dziewczynka, lecz krasnal jej przerwał.

-No już dobrze, wierzę Ci.

-Czy mogłabym odwiedzić Twoją krainę?- zapytała.

-Najpierw musisz dowiedzieć się wszystkiego o nas wrocławskich krasnalach. Chodź, zwiedzimy Wrocław.

-Ale jak? Rozdepczą nas.

-Coś się wymyśli – powiedział tajemniczo krasnal i zagwizdał.

Na niebie Eliza zobaczyła jaskółkę.

-Polecimy – oznajmił zadowolony krasnal widząc zdumienie dziewczynki.

Wsiadli. Krasnal z przodu, Eliza z tyłu trzymała się jego rudych włosów. Lot był przyjemny, lekki wiaterek rozwiewał długie włosy dziewczynki. W czasie lotu krasnal opowiadał Elizie historię wrocławskich krasnali.

-O tu stoi mój kolega Prac.

-Ależ on się rusza! – zawołała zdziwiona dziewczynka.

Krasnal zagadkowo się uśmiechnął i powiedział:

-Wyląduj tutaj jaskółeczko na bulwarze Piotra Włostowica.

-Jaskółka wylądowała tuż koło krasnala, którego oglądali z góry.

-A dlaczego on tu stoi? – zapytała z ciekawością dziewczynka.

-Zapytaj go sama.

Eliza podeszła do Pracza i zapytała:

-Dlaczego tu stoisz? Co zrobisz lub czego nie zrobisz?

-Byłem wesołym skrzatem, który lubił zabawy, latałem na skrzydlatych lwach, biłem się z kolegami, nie pomagałem mamusi w sprzątanii i praniu. Tak mnie ukarano. Towarzyszą mi teraz jedynie fale i gołębie, które nie są zbyt rozmowne.

-Trzeba ruszać w dalszą drogę.

-Dobrze – odpowiedziała dziewczynka i zwróciła się do smutnego Pracza:

-Nie smuć się, za rok cię znów odwiedzę. Do zobaczenia.

-Wsiadaj – powiedział krasnal – musimy przecież poznać inne skrzaty. Jaskółeczko! Leć!

Była równo piętnasta, gdy przelatywali nad targiem łakoci a potem nad ulicą Świdnicką.

-O tu w dole jest mój kolega Syzyfki. – poinformował krasnal. – Wylądujemy tutaj!

-Cześć braciszku, widzę, że ciągle nie udaje ci się przetoczyć kuli.

-Trudno jest ją przetoczyć, gdy ludzie ciągle na niej siadają i opierają się o nią – powiedział Syzyfki.

-A kogo tu przywiozłeś? -zapytał.

-Mam na imię Eliza – odpowiedziała nieśmiało dziewczynka.

-Dlaczego tu stoisz? – zapytała.

-Dbałem tylko o siebie, nie chciało mi się pracować, dlatego zostałem ukarany. Moja kara skończy się, gdy przetoczę kulę pod Przejściem Świdnickim na drugą stronę.

-Musimy lecieć – odezwał się nagle skrzat przewodnik.

-Na pewno już nigdy nie usiądę na twojej kuli. Spotkamy się za rok! Do zobaczenia – krzyknęła dziewczynka.

Latali już kilka godzin, odwiedzili już wiele krasnali. Wystłuchali historii Obieźsmaka, Pierożnika, Kuźnika, Gołębnika, Grajka, Melomana i kilku Słupników. Został jeszcze jeden krasnal.

-O tu! Lądujemy na ulicy Więziennej.

- Jak ma na imię ten krasnal? – zapytała Eliza.

-To Więzień.

-Co się stało, że tu stoisz? – zapytała dziewczynka.

-Lubiłem jeść, zakradałem się do domów, wyjadałem ze spiżarni konfitury, owoce i inne przysmaki. Tak mnie ukarano. Muszę tu siedzieć sam.

-Za rok znów Cię odwiedzę, nie płacz!

-Musimy już lecieć, za 20 minut zaczyna się noc i ja skamienieję – powiedział skrzak przewodnik.

-Do widzenia!

-Jaskółko leć szybko do wrót.

-Zdążyliśmy. Mamy jeszcze kilka chwil do zmroku, teraz ty opowiedz mi swoją historię. Nie wiem nawet, jak się nazywasz – poprosiła Eliza.

-Nazywam się Śpioch, byłem przywódcą krasnali. Lecz niesprawiedliwie rządziłem moimi braćmi krasnalami. Wszystkich wyśmiewałem, nic nie robiłem, tylko spałem. Nie mogę teraz spać, za karę pilnuję wrót do krainy krasnali.

-Dzień się kończy Elizo. Przed tobą trudny wybór, możesz wejść do naszej krainy, ale zostaniesz tam na zawsze albo wrócisz do domu.

- Pójdę do mamy, odwiedzę cię za rok.

Ostatniego słowa krasnal nie usłyszał, ponieważ skamieniał. Koło niego została tylko buteleczka z napisem „Dla Elizy”. Dziewczynka wypita jej zawartość i urosła.

Gdy wróciła do domu, postanowiła spisać swoją przygodę. Opowiadanie podarowała swojej mamusi na urodziny. Gdy mama je przeczytała, uśmiechnęła się i mocno przytuliła swoją córeczkę. Czy uwierzyła w opowiadanie?

Opowieść o tym, jak miłość zwycięża wszystko

Marta Niedziałek kl. 6a

Nie tak dawno temu, nie za górami, nie za lasami, lecz w dużym mieście zwanym Wrocław, na początku poprzedniego wieku w jednej z kamienic na rynku żył bogaty człowiek zwany Leopold.

Mieszkał z ojcem i matką choć był już prawie dorosły. Jego ojciec -Henryk- był jednym z najbogatszych ludzi w mieście i liczył się dla niego tylko pieniądze.

Leopold był zupełnie inny. Oceniał ludzi po ich charakterze i po tym, jacy byli i jak się zachowywali. Nie obchodziło go ile zarabiają ich ojcowie. Z tego też powodu znajomi Leopolda często byli niemile widziani w domu jego ojca, a i on sam wolał przebywać poza domem.

Pewnego dnia Leopold postanowił wybrać się na wieczorny spacer. Jak zawsze przechodził obok Kurzego Targu, lubił patrzeć i rozmawiać z ludźmi, którzy normalnie pracują i zarabiają. W końcu stwierdził, że ma już dość bogactwa. Postanowił kupić sobie jabłko, podszedł więc do stoiska i poprosił o nie sprzedawcę. Jednak nie był to zwykły sprzedawca, na którego Leopold popatrzyłby obojętnie.

Była to piękna dziewczyna w jego wieku, z wyglądu trochę biedna, ale Leopold zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia i tak się zapatrzył, że zapomniał, po co tam stoi.

- Przepraszam? Zapłaci pan za to jabłko? - spytała dziewczyna.

- Co? Ach, tak! - wyjął z kieszeni pieniądze - Proszę.

- Dziękuję. Kupuje pan coś jeszcze? - spytała dziewczyna, bo Leopold nadal tam stał i patrzył na nią.

- Nie. A może wybrałaby się pani ze mną na spacer?

- Nie wiem, czy mogę. Pracę kończę dopiero za pół godziny...a poza tym ja....

- Nie szkodzi. Poczekam.

Leopold zabrał nieznajomą na spacer. Szli powoli wybrzeżem, minęli Ostrów Tumski, najróżniejsze mosty i tak się zagadali że doszli aż za granice Wrocławia. Coraz rzadziej mijali domy, aż w końcu Kaja (bo tak miała na imię nieznajoma) oświadczyła, że musi wracać, bo jest już późno, a na nią czekają jeszcze obowiązki. Oboje stwierdzili, że był to cudowny spacer i świetnie im się rozmawiało, jakby znali się od lat. Leopold odprowadził Kaję do domu (do nędznej kamienicy, w której wynajmowała mieszkanie) i wrócił do domu.

Od tej pory Kaja i Leopold spotykali się codziennie, chodzili na długie wieczorne spacerunki, śmiali się i rozmawiali. Szczęście jednak nie trwało długo. Po dwóch tygodniach ojciec Leopolda wziął go na poważną rozmowę.

- Leopoldzie, powiedz mi synu, gdzie chodzisz wieczorami, już od dłuższego czasu? Tyko proszę szczerze, jestem twoim ojcem, mam prawo wiedzieć.

- Na spacerunki. Chodzę wzdłuż Odry i wracam.

- Sam? - dociekał ojciec.

- Tak.

- Jak śmiesz mnie kłamać? - odrzekł Henryk- Służący widział cię wczoraj, jak idziesz za ręką z jakąś biedną dziewczyną!

- Tak ojczu. Masz rację, ale ja ją kocham i ona mnie też! Chcemy się pobrać!

- Nie ma mowy! Jeśli to zrobisz stracę reputację!

- Czyli Ojczu twoja reputacja jest ważniejsza niż szczęście własnego syna?!

- Jak śmiesz?! Zakazuję ci się z nią spotykać!

I tak skończyła się znajomość Kai i Leopolda, a przynajmniej tak myślał Henryk, zamykając syna w domu. Leopold chciał jednak dalej spotykać się z ukochaną i dzięki pomocy matki i służby, nocą nadal wymykał się z domu i spotykał z Kają.

Pewnego dnia do pokoju Leopolda wleciała Różowa Wróżka i dała mu radę:

„Jeśli chcesz nadal być z nią,
musisz zagadkę rozwikłać tą:

O pierwszej z nich dowiesz się,

Od pewnej osoby,

którą koło znanego ci targu znajdziesz,

nie jest wyjątkowa, ale gdy tam pójdziesz

rozwikłasz sam problem ten,

nie lękaj się, a znajdziesz ją.”

I po tych słowach, bez wyjaśnień od razu wyleciała zostawiając za sobą mnóstwo różowych gwiazd. Leopold zastanawiał się nad tym całą noc i rankiem pod nieobecność ojca poszedł na Kurzy Targ. Stanął tam i szukał owej osoby. Nagle za sobą usłyszał jakiś głos.

- To ty jesteś tym, który odda wszystko za anielską duszę Kai? - rzekła stara kobieta, żebraczka,

która zawsze siedziała na murku obok Hali Targowej.

- No chyba tak. A ja miałem znaleźć ciebie? To ty mi masz pomóc? - upewniał się Leopold.

- Tak to ja, ale za nim ja ci pomogę, ty musisz zrobić coś dla mnie.

- Co zechcesz, moja pani?

- Pójdiesz do Katedry, wejdiesz na szczyt wschodniej wieży i tam znajdziesz ukryte w cegłach niewielkie drzwi. Dostrzeżesz je dzięki temu magicznemu napojowi- wręcza Leopoldowi małą flaszkę z niebieskim płynem- gdy go wypijesz, prześwietlisz wzrokiem cegły i zobaczysz owe zielone drzwi. Żebyś mógł się do nich łatwo dostać, dam ci też magiczny klucz, wystarczy, że dotkniesz nim cegieł, a one się rozpuszczą, wtedy za pomocą klucza wejdiesz do pomieszczenia, którego strzegły te drzwi i tam znajdziesz starą, magiczną księgę. Otworzysz ją na 686 stronie i wypowiesz zapisane tam zaklęcie. Gdy zrobisz to wszystko, zamknij drzwi i wróć do mnie. Będę czekać w tym samym miejscu. Dobrze?

- Oczywiście, zrobię jak każesz.

Leopold pobiegł do Katedry, wszedł na wschodnią wieżę i wykonał wszystkie polecenia według zaleceń kobiety. Klucz i magiczny płyn spisały się na medal. Potem wrócił na umówione miejsce, ale żebraczki tam nie było. Zamiast niej na murku siedziała młoda kobieta w pięknym stroju. Wyglądała zupełnie jak Różowa Wróżka, którą Leopold spotkał wcześniej, tylko jej suknia była błękitna. To ona się do niego odezwała.

- Dziękuję ci Leopoldzie. Wreszcie ktoś ściągnął ze mnie ten straszliwy czar.

- To ty?

- Tak to ja. Siedziałam na tym murku już 20 lat i nie mogłam się ruszyć, bo zły czarnoksiężnik rzucił na mnie straszliwy czar. Nikt nie chciał mi pomóc, ale ty się odważyłeś, więc teraz ja ci pomogę. - wytłumaczyła wróżka.

- A więc powiedz mi, co mam zrobić, żeby ojciec pozwolił mi być z Kają.

„Najpierw idź do Kościoła tego na Piasku,
pomódl się za ojca szczerze,
potem na najwyższy punkt Mostu Tumskiego wejdź,
napoju zielonego napij się,
i wykrzyk wszystkim, co czujesz i czego pragniesz,
gdy ktoś cię będzie ściągać próbował,
nie lękaj się i zeskocz wprost do wody”

- Pamiętaj, jak się złęknieš i stracisz zaufanie do tej, którą kochasz, to czary prysną, a wybranki swej nigdy już nie ujrysz - i to powiedziawszy wróżka wręczyła Leopoldowi flaszkę z zielonym płynem i odleciała zostawiwszy po sobie dym błękitnych gwiazd.

Leopold nie czekał ani chwili, nie słynął bowiem z odwagi, ale Kai ufał z całego serca. Pobiegł na Piasek, pomodlił się, wypił napój i zaczął wspinać się na most. Nie złąkł się ani razu, wszedł na szczyt mostu i zaczął krzyczeć.

- Kaja, wybranko moja! Kocham cię! Ojciec i tak się z nią ożeni, nie zabronisz mi! Obwieszczam wszystkim, że kocham Kaję i kochać będę zawsze! - Leopold stał na wąziutkiej deseczce i cudem się trzymając przy życiu darł się w niebogłosy, aż zbiegli się ludzie.

- Hej! Oszalał pan?! Zejdź ze stamtąd! - krzyčeli wszyscy, ale Leopold ich nie słuchał. W końcu przybiegł jego ojciec.

- O matko wszechmogąca! Leopold, dziecko co ty wyprawiasz?! Niech go ktoś ściągnie!

Nagle kilkanaście osób zaczęło wchodzić na most. Leopold nie zastanawiając się skoczył i w tej właśnie chwili przyleciał Anioł, była to Kaja. Złapała Leopolda i przyfrunęli razem na most.

- Nie wierzyłam, że się odważysz - powiedziała Kaja.

- Dla ciebie wszystko bym zrobił! Kocham i ufam ci szczerze. - odparł Leopold.

I w tym momencie na serce Henryka zimne jak lód spłynęła fala miłości i ciepła, stał się on zupełnie innym człowiekiem. Zapomniał o wszystkim i pokochał Kaję, a od dziś pomagał także ludziom niezależnie od tego, ile mieli pieniędzy.

Kaja i Leopold wzięli ślub, zamieszkali razem u jego ojca i jak to często w bajkach bywa, wszyscy żyli długo i szczęśliwie. A na znak tego pełnego miłości wydarzenia na nowo wzniesionym Moście Tumskim, na najwyższym jego punkcie, został wygrawerowany Anioł z Leopoldem w objęciach. Nie wierzycie? To przyjrzyjcie się dobrze temu mostowi.

Nie tak dawno temu, nie za górami, nie za lasami, lecz w dużym mieście zwanym Wrocław, na początku poprzedniego wieku w jednej z kamienic na rynku żył bogaty człowiek zwany Leopold.

Mieszkał z ojcem i matką choć był już prawie dorosły. Jego ojciec -Henryk- był jednym z najbogatszych ludzi w mieście i liczył się dla niego tylko pieniądze.

Leopold był zupełnie inny. Oceniał ludzi po ich charakterze i po tym, jacy byli i jak się zachowywali. Nie obchodziło go ile zarabiają ich ojcowie. Z tego też powodu znajomi Leopolda często byli niemile widziani w domu jego ojca, a i on sam wolał przebywać poza domem.

Pewnego dnia Leopold postanowił wybrać się na wieczorny spacer. Jak zawsze przechodził obok Kurzego Targu, lubił patrzeć i rozmawiać z ludźmi, którzy normalnie pracują i zarabiają. W końcu stwierdził, że ma już dość bogactwa. Postanowił kupić sobie jabłko, podszedł więc do stoiska i poprosił o nie sprzedawcę. Jednak nie był to zwykły sprzedawca, na którego Leopold popatrzyłby obojętnie. Była to piękna dziewczyna w jego wieku, z wyglądu trochę biedna, ale Leopold zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia i tak się zapatrzył, że zapomniał, po co tam stoi.

- Przepraszam? Zapłaci pan za to jabłko? - spytała dziewczyna.

- Co? Ach, tak! - wyjął z kieszeni pieniądze - Proszę.

- Dziękuję. Kupuje pan coś jeszcze? - spytała dziewczyna, bo Leopold nadal tam stał i patrzył na nią.

- Nie. A może wybrałaby się pani ze mną na spacer?

- Nie wiem, czy mogę. Pracę kończę dopiero za pół godziny...a poza tym ja....

- Nie szkodzi. Poczekam.

Leopold zabrał nieznajomą na spacer. Szli powoli wybrzeżem, minęli Ostrów Tumski, najróżniejsze mosty i tak się zagadali że doszli aż za granice Wrocławia. Coraz rzadziej mijali domy, aż w końcu Kaja (bo tak miał na imię nieznajoma) oświadczyła, że musi wracać, bo jest już późno, a na nią czekają jeszcze obowiązki. Oboje stwierdzili, że był to cudowny spacer i świetnie im się rozmawiało, jakby znali się od lat. Leopold odprowadził Kaję do domu (do nędznej kamienicy, w której wynajmowała mieszkanie) i wrócił do domu.

Od tej pory Kaja i Leopold spotykali się codziennie, chodzili na długie wieczorne spacerki, śmiali się i rozmawiali. Szczęście jednak nie trwało długo. Po dwóch tygodniach ojciec Leopolda wziął go na poważną rozmowę.

- Leopoldzie, powiedz mi synu, gdzie chodzisz wieczorami, już od dłuższego czasu? Tyko proszę szczerze, jestem twoim ojcem, mam prawo wiedzieć.

- Na spacerki. Chodzę wzdłuż Odry i wracam.

- Sam? - dociekał ojciec.

- Tak.

- Jak śmiesz mnie kłamać? - odrzekł Henryk- Służący widział cię wczoraj, jak idziesz za ręką z jakąś biedną dziewczyną!

- Tak ojciec. Masz rację, ale ja ją kocham i ona mnie też! Chcemy się pobrać!
- Nie ma mowy! Jeśli to zrobisz stracę reputację!
- Czyli Ojciec twoja reputacja jest ważniejsza niż szczęście własnego syna?!
- Jak śmiesz?! Zakazuję ci się z nią spotykać!

I tak skończyła się znajomość Kai i Leopolda, a przynajmniej tak myślał Henryk, zamykając syna w domu. Leopold chciał jednak dalej spotykać się z ukochaną i dzięki pomocy matki i służby, nocą nadal wymykał się z domu i spotykał z Kają.

Pewnego dnia do pokoju Leopolda wleciała Różowa Wróżka i dała mu radę:

„Jeśli chcesz nadal być z nią,
musisz zagadkę rozwikłać tą:
O pierwszej z nich dowiesz się,
Od pewnej osoby,
którą koło znanego ci targu znajdziesz,
nie jest wyjątkowa, ale gdy tam pójdziesz
rozwikłasz sam problem ten,
nie lękaj się, a znajdziesz ją.”

I po tych słowach, bez wyjaśnień od razu wyleciała zostawiając za sobą mnóstwo różowych gwiazd. Leopold zastanawiał się nad tym całą noc i rankiem pod nieobecność ojca poszedł na Kurzy Targ. Stanął tam i szukał owej osoby. Nagle za sobą usłyszał jakiś głos.

- To ty jesteś tym, który odda wszystko za anielską duszę Kai? - rzekła stara kobieta, żebraczka,

która zawsze siedziała na murku obok Hali Targowej.

- No chyba tak. A ja miałem znaleźć ciebie? To ty mi masz pomóc? - upewniał się Leopold.

- Tak to ja, ale za nim ja ci pomogę, ty musisz zrobić coś dla mnie.

- Co zechcesz, moja pani?

- Pójdziesz do Katedry, wejdiesz na szczyt wschodniej wieży i tam znajdziesz ukryte w cegłach niewielkie drzwi. Dostrzeżesz je dzięki temu magicznemu napojowi- wręcza Leopoldowi małą flaszkę z niebieskim płynem- gdy go wypijesz, prześwietlisz wzrokiem cegły i zobaczysz owe zielone drzwi. Żebyś mógł się do nich łatwo dostać, dam ci też magiczny klucz, wystarczy, że dotkniesz nim cegieł, a one się rozpuszczą, wtedy za pomocą klucza wejdiesz do pomieszczenia, którego strzegły te drzwi i tam znajdziesz starą, magiczną księgę. Otworzysz ją na 686 stronie i wypowiesz zapisane tam zaklęcie. Gdy zrobisz to wszystko, zamknij drzwi i wróć do mnie. Będę czekać w tym samym miejscu. Dobrze?

- Oczywiście, zrobię jak każesz.

Leopold pobiegł do Katedry, wszedł na wschodnią wieżę i wykonał wszystkie polecenia według zaleceń kobiety. Klucz i magiczny płyn spisały się na medal. Potem wrócił na umówione miejsce, ale żebraczki tam nie było. Zamiast niej na murku siedziała młoda kobieta w pięknym stroju. Wyglądała zupełnie jak Różowa Wróżka, którą Leopold spotkał wcześniej, tylko jej suknia była błękitna. To ona się do niego odezwała.

- Dziękuję ci Leopoldzie. Wreszcie ktoś ściągnął ze mnie ten straszliwy czar.

- To ty?

- Tak to ja. Siedziałam na tym murku już 20 lat i nie mogłam się ruszyć, bo zły czarnoksiężnik rzucił na mnie straszliwy czar. Nikt nie chciał mi pomóc, ale ty się odważyłeś, więc teraz ja ci pomogę. - wytłumaczyła wróżka.

- A więc powiedz mi, co mam zrobić, żeby ojciec pozwolił mi być z Kają.

„Najpierw idź do Kościoła tego na Piasku,
pomódl się za ojca szczerze,

potem na najwyższy punkt Mostu Tumskiego wejdź,
napoju zielonego napij się,
i wykrzycz wszystkim, co czujesz i czego pragniesz,
gdy ktoś cię będzie ściągać próbował,
nie lękaj się i zeskocz wprost do wody"

- Pamiętaj, jak się złęknieš i stracisz zaufanie do tej, którą kochasz, to czary prysną, a wybranki swej nigdy już nie ujrysz - i to powiedziawszy wróżka wręczyła Leopoldowi flaszeczkę z zielonym płynem i odleciała zostawiwszy po sobie dym błękitnych gwiazd.

Leopold nie czekał ani chwili, nie słynął bowiem z odwagi, ale Kai ufał z całego serca. Pobiegł na Piasek, pomodlił się, wypił napój i zaczął wspinać się na most. Nie zląkł się ani razu, wszedł na szczyt mostu i zaczął krzyczeć.

- Kaja, wybranko moja! Kocham cię! Ojcie i tak się z nią ożenię, nie zabronisz mi! Obwieszczam wszystkim, że kocham Kaję i kochać będę zawsze! - Leopold stał na wąziutkiej deseczce i cudem się trzymając przy życiu darł się w niebogłosy, aż zbiegli się ludzie.

- Hej! Oszalał pan?! Zejdź że stamtąd! - krzyczeli wszyscy, ale Leopold ich nie słuchał. W końcu przybiegł jego ojciec.

- O matko wszechmogąca! Leopold, dziecko co ty wyprawiasz?! Niech go ktoś ściągnie!

Nagle kilkanaście osób zaczęło wchodzić na most. Leopold nie zastanawiając się skoczył i w tej właśnie chwili przyleciał Anioł, była to Kaja. Złapała Leopolda i przyfrunęli razem na most.

- Nie wierzyłam, że się odważysz - powiedziała Kaja.

- Dla ciebie wszystko bym zrobił! Kocham i ufam ci szczerze. - odparł Leopold.

I w tym momencie na serce Henryka zimne jak lód spłynęła fala miłości i ciepła, stał się on zupełnie innym człowiekiem. Zapomniał o wszystkim i pokochał Kaję, a od dziś pomagał także ludziom niezależnie od tego, ile mieli pieniędzy.

Kaja i Leopold wzięli ślub, zamieszkali razem u jego ojca i jak to często w bajkach bywa, wszyscy żyli długo i szczęśliwie. A na znak tego pełnego miłości wydarzenia na nowo wzniesionym Moście Tumskim, na najwyższym jego punkcie, został wygrawerowany Anioł z Leopoldem w objęciach. Nie wierzycie? To przyjrzyjcie się dobrze temu mostowi.

Emilia Kowalów klasa 4b

Moja Wrocławska Baśń

Pewnego dnia wybrałem się na spacer do Rynku. Szłam ulicą Oławską, kiedy moją uwagę zwrócił krasnoludek, który stał przy deptaku.

Kiwnął do mnie, a z jego strony dobiegała piękna melodia. Rozejrzałam się dookoła i zrozumiałam, że znajduję się w dziewiętnastym wieku, na wyspie zwanej Starym Targiem. Mijało mnie dużo ludzi. Tętniło tam życie. Było tam wiele kupców i handlarzy. Większość z nich posiadała powozy ciągnięte przez konię. A obok każdego konia, biegały rozbrykane małe krasnale. Grajek – przy którym przystanęłam – piśkliwym głosikiem chwalił się, że też opiekuje się klaczą o imieniu Kasztanka. Każdy krasnal dbał o to, żeby na drodze nie leżał żaden kamień i żeby koń zawsze był napojony. A kiedy zaczynało padać, krasnoludki wdrapywały się na grzbiety zwierząt i zwinnie okrywały je płachtą. Pod koniec dnia, dbały o to, żeby każdy koń dotarł do stajni. Grajek grał swojej Kasztance spokojną melodię na dobranoc. Kiedy konie odpoczywały, wszystkie krasnale biegły do Ratusza na spotkanie. Opowiadały sobie

nawzajem, co im się w ciągu dnia przytrafiło i naradzały się, jak pomóc tym koniom, o które nie dbają ludzie. Zawsze wymyślały jakiś sprytny plan, żeby uratować konia, lecz nikomu go nie zdradzały.

Przez setki lat, wydarzyło się bardzo wiele radosnych i smutnych chwil. Ludzie zaczęli kupować pierwsze samochody. Byli tak tym zafascynowani nowoczesnymi wynalazkami, że nie zwracali uwagi na krasnale. Skrzatów było coraz mniej.

Kiedy po rynku zaczęły jeździć tramwaje, konie nie były już potrzebne. Krasnale też zniknęły. Pochowały się w wieżach. Cały czas obserwowały, co działo się w ich mieście, który znały jako Stary Targ. Tęskniły za końmi, które tak kochały. Kiedy zwierzęta zaczęły wracać na Rynek, krasnale znowu się pojawiły. Większość krasnali nadal mieszka w wieżach budynków. Patrzą na miasto, wierzą, że i one kiedyś będą mogły stanąć przy deptakach.

Pięciu krasnali już powróciło do naszego Rynku. Szanujmy konie, wtedy krasnali będzie coraz więcej. To oni są strażnikami zwierząt.

Michał Turniak kl.4c

„Baśń o Wrocławiu”

Kilka wieków temu we Wrocławiu, pięknym ogrodzie, mieszkała dobra czarodziejka Marzena. Była osobą pogodną, Życzliwą i uczynną. Kiedy mieszkańcy grodu potrzebowali mądrej rady lub pomocy, od razu szli z wizytą do czarodziejki. Codziennie u Marzeny zjawiało się kilkudziesięciu gości. Przyjmowanie tylu ludzi było bardzo męczącym zajęciem, jednak mimo braku sił czarodziejka starała się ugościć jak najwięcej osób. Niestety, nie zawsze udawało jej się pomóc wszystkim ludziom.

Pewnej nocy Marzena miała sen. W tym śnie zobaczyła małego, brodatego, czarnego ludzika. Stworzenie dreptało obok człowieka. Nagle człowiek się potknął. Mała istotka pomogła mu wstać.

Marzena się obudziła. Postanowiła stworzyć takiego ludzika. Istotę, która będzie pomagać ludziom. Nie wiedziała tylko, z czego zrobić takiego pomocnika. Ten budulec musiałby być niezniszczalny. Marzena zaczęła się zastanawiać, co jest rzeczą, która nigdy się nie zniszczy i będzie stałym elementem w życiu człowieka. Doszła do wniosku, że tą rzeczą są codziennie problemy i smutki.

Następnego dnia przyjęła tylko jedną osobę, ubogą panią Kasię. Zamieniła jej smutki w czarną bryłę. Zaczęła rzeźbić. Wieczorem pomocnik był już gotowy. Nazwała go krasnoludkiem.

W ciągu następnych tygodni Marzena stworzyła kilkaset krasnali. Na ulicach aż roiło się od niewielkich istot pomagających ludziom. Marzena z zadowoleniem przyglądała się swoim małym dzieciom. Chociaż ludzie nadal mieli problemy, to obok był ktoś, kto był gotowy im pomóc. Dzięki temu życie ludzi było łatwiejsze.

Pewnego dnia do chatki Marzeny zawita Książę Maciej. Był bardzo złym człowiekiem.

- Witam czarodziejko Marzeno.
- Och książę Maciej ! Niezmiernie miło mi pana gościć w moim skromnym domu. Czym mogę służyć?
- Pragnę, żebyś stworzyła dla mnie mnóstwo niezniszczalnych krasnali.
- Czemu ? Przecież masz tylu służących...
- Nie potrzebuję więcej służących. Chce mieć wielką, niezwyciężoną armię, aby zapanować nad sąsiednimi królestwami.
- Nie mogę ci pomóc. Te istoty mają pomagać ludziom, a nie ich zabijać!

Książę Maciej wyszedł rozżalony z chatki czarodziejki. Kiedy wrócił do zamku, wezwał swojego nadwornego czarnoksiężnika.

- Chcę, żeby te krasnale stały się moją armią!

Czarnoksiężnik wysłuchał rozkazu księcia. Wieczorem wszystkie krasnale stały przed zamkiem gotowe pójść na wojnę.

Kiedy ludzie powiedzieli Marzenie, że krasnale zniknęły, czarodziejka wiedziała. Kto je porwał. Szybko poleciała na zamek księcia. Tam ujrzała wielką armię krasnali, gotowych przeciwników Macieja. Marzena zaczęła płakać. Wiedziała. Że tylko ona może uratować życie wielu niewinnych ludzi. Rozumiała, że jeśli wykonawca krasnali umrze, to one też zginą. Marzena rzuciła się do pobliskiej rzeki Odry i krasnoludki w jednej chwili skamieniały. Ich sylwetki nadal można oglądać we Wrocławiu.